

Gazeta Polska

Warszawa
15-09-2010
T. / Nr 37

MARCIN HAŁAŚ

Twórcy teatralni związani z tak zwaną nową lewicą rozprawiają się z autorytetami dzierzącymi salonowy rząd dusz. Ale nie prowadzą z nimi bynajmniej sporu o wartości. To raczej walka o miejsce w tej samej „niszy ekologicznej”.

Od dłuższego czasu kilku polskich krytyków teatralnych głosi „teorię prowincji”. Według niej – co nie jest pozbawione racji – najciekawsze spektakle teatralne powstają dziś nie w tradycyjnych stolicach sztuki typu Kraków czy Warszawa, ale w ośrodkach prowincjonalnych. Na poparcie takiej tezy przywoływane są najczęściej dwie (tylko dwie?) sceny: Teatr im. Heleny Modrzejewskiej w Legnicy oraz Teatr Dramatyczny im. Jerzego Szaniawskiego w Wałbrzychu. Pierwszy zyskał markę dzięki spektaklom Przemysław Wojcieszka („Made in Poland” oraz „Osobisty Jezus”), sława drugiego została nadmuchana za sprawą działalności duetu Paweł Demirski (dramaturg) i Monika Strzępka (reżyser). Ostatni rok przyniósł dwie realizacje Demirskiego i Strzępki: „Niech żyje wojna!” (premiera 12 grudnia 2009) oraz najnowszą realizację „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” (premiera 22 maja 2010).

Demirski to członek redakcji „Krytyki Politycznej”, próbującej wykre-

Był sobie Andrzej

ować w Polsce „nową lewicę” (nie wiem, w jaki sposób jest ona nowa, skoro nie odcina się od starych komunistycznych bandytów). Lewica, czy to dawna, czy nowsza, stara się przy każdej okazji dezawuować narodowe symbole, aby potem móc je zastąpić własnymi symbolikami – zapewne na zasadzie starego prawa mówiącego, że gorszy pieniądz wypiera z rynku pieniądz lepszy. Przez pierwsze pół godziny spektaklu „Niech żyje wojna!” dwóch aktorów gra nago. Pierwszy ma być premierem Stanisławem Mikołajczykiem, drugi – odziany tylko w białą-czerwoną opaskę na ramieniu – powstańcem warszawskim i zarazem Jankiem Kosem z serialu „Czterej pancerni i pies”. Cóż, jakie czasy, taki szok. Gdyby Demirski i Strzępka realizowali swoje dzieło w roku 1958, zapewne nie rozebraliby swojego bohatera do naga (cenzura obyczajowa wtedy działała), ale na przykład pokazaliby jego śmierć na śmietniku. Na zwykłym śmietniku, w którym wszak „nteligentny” i postępowy widz dopatry się śmietnika historii. Zupełnie jak Andrzej Wajda w ekranizacji arcydzieła komunistycznej propagandy, czyli „Popiołu i diamentu”.

W spektaklu „Był sobie Andrzej, Andrzej, Andrzej i Andrzej” rzecz dzieje się na pogrzebie „architekta narodowej wyobraźni”, reżysera Andrzeja, zdobywcy Oscara – wszystkie skojarzenia z Andrzejem W. są jak najbardziej na miejscu. Demirski nie lubi „architektów narodowej wyobraźni”, a w jednym z wcześniejszych spektakli aktorka wypowiadała kwestię (podaję ją w wersji pozbawionej wulgaryzmów): „Podobno w warszawskiej szkole teatralnej strasznie śmierdzi formaliną. I z tej formaliny wychodzą autorytety polskiego teatru, żeby prowadzić zajęcia ze studentami”. Jednak nie oczekujmy, że z architektami narodowej (czytaj – salonowej) wyobraźni Demirski zacznie prowadzić spór o imponderabilia. Jego stać co najwyżej na spór estetyczny na poziomie: dlaczego nie używacie słów „kurwa” i „chuj”, skoro w moich przedstawieniach padają one kilkaset razy i widzom to się podoba. A spod tego wszystkiego wзира jeszcze inna pretensja: Dlaczego oni są autorytetami moralnymi, a my wciąż tylko chłopcami do pogłaskania, skoro tak naprawdę mówimy to samo? Głosimy te same salonowe mantry, choć wypowiadamy je innym językiem.

Przyznać trzeba, że walbrzyski teatr ma dobrych aktorów, że Strzępka to dobra reżyserka, choć większość jej realizacji warto skrócić o co najmniej 30 długich minut. W spektaklu o Andrzejach warto wyróżnić Agnieszkę Kwietniewską, która bardzo zgrabnie parodiuje Krystynę Jandę w jej kreacji z „Człowieka z marmuru”, choć wprowadzenie tutaj „Ballady o Janku Wiśniewskim” to jawne nadużycie. I proszę nie tłumaczyć tego postmodernizmem. Chodzi raczej o to, że jeżeli wymieszymy diamenty z błotem i podamy je komuś do ręki – to obdarowany zapamięta z tej mieszanek przede wszystkim błoto. Jeśli Kwietniewska jest mądrą aktorką, zapewne rozumie (zrozumie), że samo przedrzeźnianie nie wystarczy, że trzeba docierać do jądra roli i odpowiadać sobie: po co ta kreacja? Ja myślę tak: w najnowszej realizacji duetu Demirski-Strzępka nie chodzi o to, żeby z Andrze-

jem W. toczyć spór światopoglądowy, zganić jego ideowe, artystyczne, polityczne wybory. Chodzi o to, żeby wykrzyknąć: Dlaczego to Andrzej W., a nie Paweł D. jest architektem narodowej (a raczej salonowej) wyobraźni? I jeżeli spojrzymy na spektakl w tej płaszczyźnie – okaże się, że chłopcy z „nowej lewicy” wciąż biegają w krótkich spodenkach, zardroszcząc starszym (nieważne, o ile lat) kolegom pięknych samochodów i wyrwanych lasek.